

Od Administracji.

Z numerem niniejszym kończymy IV-ty kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty nie nadesła, następnego numeru już nie otrzyma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Austrii czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę z Austrii i W. Ks. Poznańskiego przysyłać należy wprost do Administracji naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17— marek
Półrocznie	8 „	8 50 „
Kwartalnie	4 „	4 25 „

Kronika tygodniowa.

Rok tysiąc dziewięćsetny piętnasty schodzi do grobu, który się zwie wiecznością, a kronikarzowi przypadł ten zaszczyt, by mu poświęcić żalosne wspomnienie.

Zanim się to przecież stanie, muszę najpierw spełnić swój obowiązek i, jak to zresztą czynię co roku, złożyć Szanownym Czytelnikom i Czytelniczkom życzenia. Mogłbym sobie wprawdzie dać spokój ze względu na to, iż dotąd nikt mi się jeszcze nie zrewanżował, a jeśli mi kto kiedy życzył, to najwyżej w skrytości serca, by mi dyabeł nogi w precle powykręcał lub coś podobnego. Tak zazwyczaj życzą kronikarzowi Czytelnicy, którzyby chcieli, aby tylko to „stało“ w gazecie, co im się podoba. Ponieważ różne są gusta i guściki, jeden lubi to, drugi owo, trudno od razu wszystkich zadowolić. W jednym tygodniu gniewają się ci, w drugim tamci, kronikarz jest przez rok cały kozłem ofiarnym.

Ala, jako prawowierny chrześcijanin, przebaczam bliźnim, którzy „nie wiedzą, co czynią“ i kronikę niniejszą zaczynam od życzeń, bojąc się, by one, o ile znalazłyby się na końcu, nie padły ofiarą pana metrapaży, dla którego niema nic świętego! Obcina nawet kronikę, nie wiedząc nawet, że jakby krajał żywcem serce autora lub jego przerośniętą wątrobę.

I czegoż życzyć, by tym razem wszystkich w czambuł zadowolić?

W pierwszym więc rzędzie rychłego odnowienia prenumeraty, numer ten jest bowiem ostatnim w tym roku, Administracja zaś powiada, że „kto prenumeraty nie zapłaci, następnego numeru już nie otrzyma“, a szkoda byłaby to niepowetowana, gdyż będzie on ogromnie ciekawy, jak się o tem na własne oczy przekonałem, widząc kolegów redakcyjnych, zbierających doń materyały.

Jest jednak między Czytelnikami wielu takich, którzy powiadają, że płacenie prenumeraty jest całkiem głupim wymysłem, gdyż pismo powinien każdy gratis otrzymywać. Wtedy mogłoby liczyć na kolosalne rozpowszechnienie.

Ja jestem jednak przeciwnego zupełnie zdania, wedle mojej bowiem orientacji nic dziś „za darmo“ nie otrzymasz, zwłaszcza, że wszystko drożeje z dnia na dzień coraz bardziej.

Trudna więc rada, niech każdy weźmie sobie do serca przysłowie: „Kto chce czytać, płacić musi“, niech je sobie wypisze w różnych miejscach, niech je codzień, a przynajmniej co tydzień, najwygodniej zaś raz na kwartał przy okienku kasy pocztowej powtarza, a wszystko będzie w porządku.

Papier drogi, farba droga, współpracownicy pomimo dwu dni urzędowego postu w tygodniu, chcą koniecznie jeść, a prenumerata jest właśnie ową kalafonią, która smaruje smyczek redakcyjno administracyjny.

A proszę mi powiedzieć, co wart smyczek bez kalafonii?... Sam widziałem na ostatnim koncercie, że nawet tak znakomity smyczek, jak pana Hocka, bez kalafonii się nie obejdzie.

Pozatem życzę wszystkim, więc i sobie, by się wojna jak najprędzej skończyła, byśmy bodaj w roku przyszłym doczekali się zawarcia pokoju, dla nas jak najkorzystniejszego.

Do tego zaś potrzebne jest koniecznie zdrowie, kto bowiem zachoruje, lub (broń Boże od tego!) umrze, ten sam sobie będzie musiał winę przypisać. Nie dowie się tak prędko, na jakich warunkach pokój zawarto i w jaki sposób zmieniono kartę Europy i innych części świata.

Niechaj więc każdy uważa na swe zdrowie i niech wypełnia bodaj owe przykazania, które nam pan fizyk miejski porozlepiał w tramwaju. Ogłoszono je w sam czas, w miesiąc już nie było we Wiśle ani jednego bakcyła cholerycznego, razem z nimi zniknęli z pod Krakowa i Moskale.

Stara, a wypróbowana maksyma: „Szanuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie“, niechaj będzie gwiazdą przewodnią dla każdego. Nie objadajmy się więc w dniu wigilijnym, a potem w czasie świąt, kto zaś lubi jeść dużo i dobrze, (Mój Boże! Gdyby to było można!... przyp. zecera), niech pamięta, że potem bardzo zdrowo kiszczki sobie pilznerkiem wyszlamować.

Tak mnie nauczyła jedna z naszych powag lekarskich i tak też zawsze robię i dlatego jestem zdrow, czego niniejszem życzę i Szanownym Czytelnikom oraz Nadobnym Czytelniczkom.

Wiem, że z tego powodu zgniewają się na mnie lekarze, aptekarze, przedsiębiorcy pogrzebowi i tym podobne zawody, ja jednak, jako prawdziwy przyjaciel ludzkości nic sobie z tego nie robię, bo wiem, że radzę dobrze i do tego nic za tę radę nie żądam, prócz wdzięczności. Gdyby zaś wdzięczna ludzkość miała ochotę po najdłuższem życiu uczcić mnie pomnikiem, to z góry powiadam, że sobie tego nie życzę, już choćby z tego powodu, by nie mieć z tem tylu kłopotów, co n. p. Kościuszko, który w żaden sposób nie może opuścić podwórza koszar Straży ogniowej, gdzie został internowany. Kto wie, gdzie wpakowanoby mój pomnik, zanim znawcy sztuki, konserwatorzy, miłośnicy przeszłości miasta Krakowa, estetycy i inni weterynarze zgodzą się, które miejsce mu przeznaczyć i jak go postawić, frontem, czy też odwrotną stroną.

Aby zaś mieć zdrowie, trzeba mieć i dobry humor, a tego nie kupi nawet w aptece. Dobry humor ma zaś ten tylko, kto nie ma trosk i kłopotów, a tych nie mają znów ci, którzy mają pieniądze.

I tu znów nowe życzenie opłatkowe.

Niechaj więc każdy z przyjaciół i zwolenników *Nowości Ilustrowanych* ma zawsze tyle, ile potrzebuje, jeśli ma więcej, niech się po bratersku podzieli z tym, który nie ma. Proszę sobie ze mnie wziąć przykład. Choć sam niezbyt zasobny, niedawno ofiarowałem dwadzieścia próżnych butelek z gorzkiej wody na rzecz Towarzystwa Opieki nad wstydzącymi się pracować.

Zyczyłbym każdemu, by jak najrychlej został kamienicznikiem, boję się przecież, by się który z Czytelników na mnie przypadkiem nie obraził, w takich czarnych ich przedstawiam kolorach. Zresztą, gdyby w Krakowie żyli sami kamienicznicy, także byłoby niedobrze, któżby bowiem płacił wówczas czynsze?

Oto garść życzeń wigilijnych, resztę zostawiam na dzień Nowego Roku, który jest już za pasem, a tymczasem słów parę żalosnych poświęcę nieboszczykowi, latwo bowiem bardzo stałoby się mogło, że mi miejsca braknie na zapowiedziany nekrolog.

Rok tysiąc dziewięćset piętnasty, który dał nam się bardziej we znaki niż ów z feralną trzynastką w swym ogonie, nie zasługuje wprawdzie na to, by o nim wspominać, zostawia nam przecież kilka pamiątek i o nich właśnie mam zamiar rzeknąć słów kilkoro, by kiedyś potomność wiedziała, jak to z losem musieli się borykać jej dziadowie.

Do nich zaliczam więc urzędowe dni postu, taryfę maksymalną, karty chlebowe i inne osobliwości wojenne, o których się naszym babkom ani nie śniło. Kiedyś następcy nasi będą o nich czytać z takim zaciekawieniem, jak my o różnych bestyach apokaliptycznych.

Nieboszczyk miał, wedle kalendarza rzymskiego, trzysta sześćdziesiąt pięć dni i coś tam godzin z minutami i sekundami, a każdy dzień zaczynał się rano, kończył zaś wieczór, był zaś jeden do drugiego podobny, jak dwie krople wody z Wisły lub Rudawy i taki też czysty. Około pierwszego, to jest przez dwa lub trzy dni w każdym miesiącu, gdy się czuło kilka groszy w kieszeni, miał każdy mniej więcej dość gęstą minę, która jednak rzędła z dnia na dzień, w czasie zaś ostatnich czternastu dni w miesiącu można było obserwować ogólne zaćmienie kieszeniowe, wobec czego przychodziło tu i ówdzie do wojen domowych. Gruba Berta trajkotała wówczas,

niczem karabin maszynowy, a tak zwany pan domu stawiał się ostro, mówił: „Co mi zrobisz?“ i pokazywał próżną kieszeń.

Każda zmiana kwartału znaczyła się wzmożoną ruchliwością wśród kamieniczników, z uznaniem przecież podnieść należy, że w biejącym, a kończącym się roku ani razu nie podnieśli czynszu lokatorom, nie dlatego przecież, jakoby do tego nie mieli ochoty, ale z powodu, iż lokatorów wyewakuowano, a potem z dnia na dzień i z miesiąca na miesiąc przedłużano moratorium.

I znów dwie osobliwości, ewakuacja i moratorium, których nie bylibyśmy znali, gdyby nie wojna.

Najgorzej odbił się rok tysiąc dziewięćset piętnasty na kwestyi małżeństw, których urząd statystyczny zapisał bardzo niewiele, prawie wszyscy bowiem zdolni do noszenia jarzma małżeńskiego powołani zostali do noszenia broni. Tu i ówdzie stawały kochające się pary na ślubnym kobiercu, nie było tego jednakowoż tyle, ile wymaga naturalny przyrost ludności. Wobec tego zwiększyła się liczba starych panien w sposób zatrważający i zmusiła czynniki miarodajne do rozpoczęcia debat, jakichby należało użyć środków zaradczych, by złemu zapobiedz. Radzi się ciągle nad tem, wyniki podane zostaną w swoim czasie do wiadomości publicznej i będą obowiązywać pod rygorem egzekucji lub przymusowego dostawienia winowajcy przed ołtarz.

A i w życiu politycznem nie lepiej się działo, choć stwierdzić muszę, że różne stronnictwa pomimo wojny i tak wzięły sobie stale na pięty i szyły nawzajem buty, ale bez skóry, gdyż ona teraz jest bardzo droga. Najgłośniejsi krzykacze zamilkli jednak i przygotowują się na czas powojenny, kiedy będzie już można wyładować nabieraną energię. Na razie mścili się na bliźnich w artykułach wstępnych, które kiedyś, za lat kilka, warto będzie jeszcze raz uważnie sobie przeczytać, a wówczas pozna się ich tak zwane polityczne orientacje, które zmieniały się przynajmniej raz na kwartał, lub nawet i częściej.

Osobne słowo należy się też i tak zwanej aprowizacji, z którą każdy, kto prowadził bodaj małe gospodarstwo, a nie został wyewakuowany, miał przez rok cały do czynienia. W ścisłym z nią związku stały także tak zwane taryfy maksymalne, ogłaszane od czasu do czasu przez magistrat. Stanowiły one bardzo miłą, poczuającą i pożywną lekturę dla mieszkańców miasta.

Dział więc swoje, baba swoje. Komisya wydawała uchwały, a oni, nic sobie z nich nie robiąc, śmiali się w kułak, darli z nas żywcem skórę i narzekali, że takie teraz ciężkie czasy, że człowiek nie może sobie pozwolić na porządniejsze „wizo“, a o „majzlu“ nawet niema mowy.

W wojennym roku było trochę lepiej, a przyczyniły się do tego poniekąd i owe taryfy maksymalne, choć z drugiej znowu strony trzeba wspomnieć i o tem, że nieraz była taryfa, ale brakło odpowiedniego artykułu, który cierpliwie czekał w piwnicy lub składzie na wyjście nowszego jej wydania z podwyższonemi już cenami.

A ludziska aprowizowali się na gwałt, kupowali wszystko i wszędzie, w niektórych domach powstały małe magazyny środków spożywczych, na których pasły się tylko myszy ku zmartwieniu naszych gospodyń. Robiło się zapasy, potem się je zjadało, a największy apetyt Krakowian notuje miejski Urząd statystyczny właśnie w owe dwa dni urzędowego postu.

Dalszy ciąg, z powodów odemnie niezależnych, dopiero w roku przyszłym.

